



# KEN FOLLETT

ZBROJA ŚWIATŁA



ALBATROS

Tytuł oryginału:  
THE ARMOUR OF LIGHT

Copyright © Ken Follett 2023  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © Janusz Ochab 2023

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka

Przygotowanie okładki do druku: PLUS 2 Witold Kuśmierczyk

Ilustracje na okładce: Alamy/BE&W (*maszyna*),  
Ann Ronan Pictures/Print Collector/Getty Images (*zakład włókienniczy*),  
Leemage/Corbis via Getty Images (*obraz autorstwa Jeana  
Louisa-Ernesta Meissoniera*)

*Wydawca*

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.  
Hlonda 2A/25, 02-972 Warszawa  
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



## ROZDZIAŁ 1

Wcześniej Sal Clitheroe nigdy nie słyszała, żeby jej mąż krzyczał. Nie słyszała tego również nigdy potem, chyba że w snach.

Kiedy dotarła do Brook Field, było południe, na co wskazywała barwa światła słabo prześwitującego przez perłowoszare chmury, które zakrywały niebo. Błotniste czteroakrowe pole ograniczały z jednej strony rwący strumień, a z drugiej, od południa, niskie wzgórze. Dzień był chłodny i bezdeszczowy, wcześniej jednak padało przez cały tydzień, więc gdy szła przez kałuże, musiała uważać, by jej domowej roboty buty nie zostały w lepkiem szlamie. Taka mozolna wędrówka mogłaby ją pozbawić sił, Sal była jednak silną dużą kobietą i nie męczyła się szybko.

Czterej mężczyźni pracujący na polu zbierali rzepy; pochylali się, podnosili gruzłowate brązowe bulwy i wrzucali je do szerokich, płytkich koszy zwanych korfami. Kiedy kosz był już pełny, robotnik niósł go do podnóża pagórka i wyrzucał rzepy na wielki czterokołowy wóz z dębowego drewna. Sal przypuszczała, że niedługo skończą, bo po tej stronie pola nie było już co zbierać i mężczyźni pracowali w pobliżu wzgórza.

Byli tak samo ubrani: w koszule bez kołnierzyków, spodnie za kolana uszyte przez ich żony z materiałów, które same utkały, oraz kamizelki kupione z drugiej ręki lub wyrzucone przez bogaczy. Ojciec Sal miał wyjątkowo elegancką, dwurzędową, w czerwono-brązowe prążki, z szamerowanymi brzegami, porzuconą przez jakiegoś dandysa z miasta. Właściwie nigdy jej

nie zdejmował i w niej miał zostać pochowany.

Na nogach robotnicy mieli wielokrotnie naprawiane znoszone buty. Wszyscy nosili jakieś nakrycia głowy, ale każdy inne: czapkę z króliczego futra, słomiany kapelus z szerokim rondem albo filcowy, a jeden miał trikorn, który niegdyś mógł należeć do oficera marynarki wojennej.

Sal od razu rozpoznała futrzaną czapkę męża, Harry'ego. Zrobiła ją sama ze skóry zdjętej z królika, którego schwytała, zabiła kamieniem i ugotowała z cebulą. Poznałaby jednak Harry'ego z daleka, nawet gdyby nie nosił tej czapki, po rudej brodzie.

Mimo że był chudy, miał zaskakująco dużo siły; ładował do swojego korfu tyle samo rzep co więksi od niego mężczyźni. Na sam widok jego smukłego twardego ciała poruszającego się po drugiej stronie błotnistej pola Sal poczuła, jak rozpala się w niej płomyk pożądania, zapowiedź czekającej przyjemności, niczym zapach drewna płonącego w kominku, obietnica ciepła w zimny dzień.

W miarę jak zbliżała się do pracujących mężczyzn, coraz wyraźniej słyszała ich głosy. Co kilka minut któryś coś wołał, inni odpowiadali i w końcu wybuchali śmiechem. Nie rozumiała jeszcze poszczególnych słów, ale domyślała się, o czym mówią. Zwykle były to obelgi wypowiedane z udawaną agresją, dobroduszne przytyki i rubaszenie wulgarne uwagi, żarty urozmaicające nieco monotonię tej ciężkiej pracy.

Czwórce robotników przyglądał się piąty mężczyzna, który stał przy wozie i trzymał w dłoni krótki bat. Był lepiej ubrany od pozostałych – w niebieski kaftan i wypolerowane czarne buty do kolan. Nazywał się Will Riddick, miał trzydzieści lat i był najstarszym synem dziedzica Badford. Pole należało do jego ojca, podobnie jak koń i wóz. Will miał czarne gęste włosy, przycięte na wysokości podbródka, i wyglądał na niezadowolonego. Sal domyślała się dlaczego. Nadzorowanie zbioru rzepy nie należało do jego obowiązków, uważał wręcz, że uwłacza to jego godności. Zarządca dziedzica zachorował jednak i Will zapewne został zmuszony go zastąpić.

Obok Sal przez błotniste pole szedł bosy mały chłopiec, który

z trudem dotrzymywał jej kroku. W końcu przystanęła, pochyliła się, podniosła go bez wysiłku i szła dalej, niosąc synka na rękach. Oparł głowę na jej ramieniu, a Sal przytuliła jego ciepłe szczupłe ciało nieco mocniej, niż było to konieczne, po prostu dlatego, że bardzo go kochała.

Chciałaby mieć więcej dzieci, ale już dwa razy poroniła, a raz urodziła martwe niemowlę. Porzuciła więc nadzieję i tłumaczyła sobie, że są biedni i jedno dziecko im wystarczy. Pilnowała synka, prawdopodobnie za bardzo, ale wiedziała, że małe dzieci często padają ofiarą chorób czy wypadków, i pękłoby jej serce, gdyby go straciła.

Dała mu na imię Christopher, ale kiedy uczył się mówić, zniekształcał je i wymawiał jako Kit, więc tak go teraz nazywano. Był drobny jak na sześciolatka. Sal miała nadzieję, że będzie podobny do ojca: szczupły, ale silny. Na razie z pewnością odziedziczył po nim rude włosy.

Nadeszła już pora południowego posiłku, a Sal niosła kosz z serem i chlebem oraz trzy pomarszczone jabłka. W pewnej odległości za nią szła inna żona z tej samej wioski, Annie Mann, energiczna kobieta w tym samym wieku co Sal. Dwie kolejne zbliżały się do robotników z drugiej strony, schodząc ze zbocza; obie niosły kosze z jedzeniem i towarzyszyły im dzieci. Mężczyźni z ulgą przerwali pracę, wytarli ubłocone dłonie w spodnie i ruszyli w stronę strumienia, gdzie mogli usiąść na trawie.

Sal dotarła do ścieżki i ostrożnie postawiła Kita na ziemi.

Will Riddick wyjął z kieszeni kamizelki zegarek na łańcuszku i patrzył na niego, marszcząc brwi.

– Jeszcze nie ma południa! – zawołał. Sal była pewna, że kłamie, ale nikt inny nie miał zegarka. – Wracajcie do pracy!

Nie była zaskoczona. Will bywał naprawdę podły. Jego ojciec też potrafił traktować ludzi bardzo surowo, ale syn dziedzica był jeszcze gorszy.

– Jak dokończycie pracę, zjecie te swoje obiady – dodał, wypowiadając słowa „te swoje obiady” z nutą pogardy, jakby posiłki robotników były czymś obrzydliwym.

Sal pomyślała, że on zje we dworze rostbef z ziemniakami i pewnie popije dzbanem mocnego piwa.

Trzej robotnicy posłusznie wrócili do pracy, ale czwarty – Ike Clitheroe, siwobrody mężczyzna koło pięćdziesiątki – nie zrobił tego.

– Lepiej nie przeciążać wozu, panie Riddick – powiedział łagodnym tonem.

– Pozwól, że ja o tym zdecyduję.

– Bardzo przepraszam – nie poddawał się Ike. – Ale hamulec jest prawie całkiem zużyty.

– Ten cholerny wóz jest w porządku – odparł Will. – Po prostu chcecie wcześniej skończyć pracę. Jak zawsze.

– Powinien pan posłuchać mojego stryja Ike’a – wtrącił się bez wahania mąż Sal. – Inaczej może pan stracić wóz, konia i wszystkie te cholerne rzepy.

Pozostali mężczyźni parsknęli śmiechem. Żarty kosztem panów mogły się jednak źle skończyć.

Will gniewnie zmarszczył brwi.

– Zamknij tę swoją zuchwałą gębę, Harry Clitheroe.

Sal poczuła, jak mała rączka Kita wsuwa się w jej dłoń. Jego ojciec właśnie wdawał się w konflikt, a chłopczyk, choć był mały, nieomylnie wyczuwał niebezpieczeństwo.

Harry był uczciwym człowiekiem i pracowitym robotnikiem, ale też zuchwałym i uważał, że szlachta nie jest w niczym lepsza od niego. Sal kochała go za tę dumę i niezależne myślenie, lecz panowie tego nie znosili i często miał kłopoty z powodu niesubordynacji. Tym razem jednak wygłosił swoje zdanie, po czym w milczeniu wrócił do pracy.

Kobiety postawiły koszyki na brzegu strumienia. Sal i Annie poszły pomóc mężom przy zbieraniu rzep, podczas gdy dwie inne żony – starsze od nich – zostały przy posiłkach.

Praca szybko dobiegła końca.

W tym momencie było już oczywiste, że Will popełnił błąd, zostawiając wóz u podnóża zbocza. Powinien był postawić go pięćdziesiąt jardów dalej, by koń nabrał rozpędu przed wspinaczką na wzgórze. Zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym wydał polecenie:

– Popchnijcie wóz od tyłu, żeby koń się rozpędził. – Wskoczył na kozioł, machnął batem i zawołał: – Wio!



Siwa kobyła napała na uprząż.

Czterej robotnicy ustawili się za wozem i zaczęli pchać. Ich stopy ślizgały się na wilgotnym podłożu. Mięśnie na ramionach Harry'ego dygotały z wysiłku. Sal, która nie była słabsza od nich, spróbowała im pomóc. Dołączył do nich także mały Kit, co mężczyźni skwitowali uśmiechami rozbawienia.

Koła obróciły się w miejscu, a kobyła z pochylonym łbem jeszcze mocniej napała na uprząż; trzasnął bat i wóz ruszył z miejsca. Robotnicy zostali z tyłu i obserwowali, jak zwierzę wspina się w górę zbocza. Lecz po chwili zwolniło.

– Pchajcie dalej! – krzyknął Will przez ramię.

Dopadli wozu, przyłożyli dłonie do tylnej burty i napięli mięśnie. Wóz znów nabrał rozpędu. Przez kilka jardów kobyła utrzymywała tempo, napierając na skórzaną uprząż, nie była jednak w stanie uciągnąć tak wielkiego ciężaru. Zwolniła, a potem poślizgnęła się w grząskim błocie. Wydawało się, że odzyska równowagę, lecz straciła impet i wóz stanął w miejscu. Will smagał zwierzę batem, a Sal i mężczyźni wyętzali wszystkie siły, ale nie mogli utrzymać pojazdu, gdy wysokie drewniane koła zaczęły się obracać do tyłu.

Gdy Will pociągnął za rączkę hamulca, rozległ się głośny trzask i Sal zobaczyła, jak od tylnego koła odrywają się dwie połówki pękniętej drewnianej płytki hamulcowej, a potem usłyszała głos Ike'a:

– Mówilem gnojtkowi, mówiłem.

Pchali najmocniej, jak potrafili, lecz wóz wciąż przesuwiał się do tyłu. Sal ogarnęło straszne przeczucie nadciągającego niebezpieczeństwa. Pojazd nabierał prędkości.

– Pchajcie, leniwe świnię! – wrzasnął Will.

– Nie utrzymamy! – zawołał Ike i cofnął dłonie od tylnej burty.

Koń poślizgnął się ponownie i tym razem upadł; część skórzanej uprzęży pękła, zwierzę uderzyło o ziemię i ciągnięte przez wóz, zaczęło zjeżdżać ze wzgórza.

Will zeskoczył z kozła. Pojazd coraz szybciej toczył się w dół. Sal bez zastanowienia podniosła Kita jedną ręką i odskoczyła na bok.





naszego domu. On będzie wiedział, co zrobić.

– Pilnuj moich dzieci – poprosiła Annie i poderwała się do biegu.

Sal uklęknęła w błocie obok męża. Harry otworzył oczy.

– Pomóż mi – powiedział. – Pomóż mi.

– Zaniosę cię do domu, kochany – odparła. Wsunęła ręce pod jego ciało, ale gdy próbowała je unieść, krzyknął. Cofnęła szybko ręce i szepnęła: – Jezu, pomóż mi.

Słyszała, jak Will mówi:

– Mężczyźni niech się zajmą wrzucaniem rzep z powrotem na wóz. No już, ruszać się.

– Niech ktoś zamknie mu gębę, zanim ja to zrobię – powiedziała cicho.

– Co z pana koniem, panie Riddick? – spytał Ike. – Może wstać? – Przeszedł na drugą stronę wozu, by przyjrzeć się kłaczy, a jednocześnie by odciągnąć uwagę Willa od Harry’ego.

Dziękuję ci, sprytny stryju Ike, pomyślała Sal. Odwróciła się do męża Annie, Jimmy’ego Manna, który miał na głowie trikorn.

– Idź do składu drewna – powiedziała. – Poproś, żeby szybko zbili nosze z dwóch albo trzech szerokich desek, żebyśmy mogli ułożyć na nich Harry’ego.

– Już się robi – rzucił Jimmy.

– Pomóżcie mi podnieść konia na nogi! – zawołał Will.

– On już nie wstanie, panie Riddick – powiedział Ike.

Will milczał przez chwilę, po czym westchnął ciężko.

– Chyba masz rację – przyznał.

– Może przyniesie pan broń? – zasugerował Ike. – I skróci zwierzęciu cierpienia.

– Tak. – Will skinął głową, ale nie ruszał się z miejsca.

Sal uzmysłowiła sobie, że choć syn dziedzica z wyniosłością udaje obojętność, jest zszokowany.

– Proszę łyknąć sobie brandy, jeśli ma pan przy sobie butelkę – podsunął Ike.

– Dobry pomysł.

Kiedy Will pił, Ike dodał:

– Temu biedakowi z roztrzaskaną nogą też przydałoby się parę łyków. Ulżyłoby mu to trochę w bólu.

Syn dziedzica nie odpowiedział, ale chwilę później Ike wyszedł z za wozu ze srebrzystą piersiówką w dłoni, a Will ruszył szybko w przeciwnym kierunku.

– Dobra robota, Ike – mruknęła Sal.

Podał jej piersiówkę. Sal przystawiła ją do ust męża i przechyliła. Harry zakaszał, przełknął płyn i otworzył oczy. Gdy ponownie przechyliła butelkę, upił łapczywie kolejny łyk.

– Niech wypije jak najwięcej – powiedział Ike. – Nie wiem, co będzie musiał zrobić Alec.

Sal zastanawiała się przez moment, co stryj ma na myśli, i w końcu zrozumiała, że zdaniem Ike'a być może trzeba będzie uciąć Harry'emu nogę.

– O nie... – jęknęła. – Boże, proszę.

– Na razie daj mu tylko więcej brandy.

Alkohol sprawił, że na twarzy Harry'ego pojawiły się lekkie rumieńce.

– Boli, Sal, strasznie boli – odezwał się ledwie słyszalnym szeptem.

– Wezwaliśmy już cyrulika – odparła, bo nie wiedziała, co powiedzieć. Chciało jej się płakać z bezsilności.

Kiedy czekali na nosze, kobiety nakarmiły dzieci. Sal wyjęła z koszyka jabłka i dała Kitowi. Mężczyźni zaczęli zbierać rozrzucone rzepy i wkładać je na wóz. Wcześniej czy później i tak musieliby to zrobić.

Jimmy Mann wrócił z ciężkimi drewnianymi drzwiami, które opierał na ramieniu. Dysząc z wysiłku, z trudem położył je na ziemi, bo musiał je przecieź nieść przez pół mili.

– To do tego nowego domu budowanego przy młynie – wyjaśnił. – Prosilili, żeby ich nie zniszczyć. – Przesunął je tak, by leżały obok Harry'ego.

Trzeba było przenieść rannego na prowizoryczne nosze, a to musiało go zabołeć. Sal uklękła przy głowie męża. Ike chciał jej pomóc, lecz machnęła ręką. Wiedziała, że nikt inny nie będzie się starał tak bardzo jak ona zrobić tego jak najdelikatniej. Złapała Harry'ego za ramiona, tuż pod barkami, i zaczęła powoli przenosić górną część jego tułowia nad drzwi. Nie zareagował. Robiła to powoli, cal po calu, dopóki niemal cały

tulów nie znalazł się na drzwiach. Potem czekało ją przesunięcie nóg. Stała nad mężem okrakiem, pochyliła się, złapała go za biodra i jednym szybkim ruchem przeniosła nogi na drzwi.

Harry krzyknął. Po jakimś czasie krzyk ucichł i zamienił się w szloch.

– Podnieśmy go – powiedziała. Uklękła przy jednym rogu drzwi, a trzech mężczyźni złapali pozostałe. – Powoli. Trzymajcie je równo.

Chwycili mocno za krawędzie i podnosili stopniowo drzwi, po czym równocześnie oparli je na ramionach.

– Gotowi? – spytała Sal. – Starajcie się iść równym krokiem. Raz, dwa, trzy, idziemy.

Ruszyli przez pole. Sal obejrzała się i zobaczyła, że Kit, choć oszołomiony i wystraszony, idzie tuż za nią i niesie koszyk. Dwoje małych dzieci Annie szło za ojcem, Jimmym, który podtrzymywał tylny lewy róg drzwi.

Badford było dużą wioską, miało tysiąc albo i więcej mieszkańców, a dom Sal stał jakąś milę od pola. Czekał ich powolny długi marsz, ale Sal знаła drogę tak dobrze, że mogłaby ją zapewne przejść z zamkniętymi oczami. Mieszkała tu przez całe życie; jej rodzice leżeli na cmentarzu przy kościele Świętego Mateusza. Jediną miejscowością, jaką odwiedziła do tej pory, było Kingsbridge; po raz ostatni była tam dziesięć lat temu. W ciągu jej życia Badford bardzo się zmieniło i już nie tak łatwo dało się przejść z jednego krańca wioski na drugi. Zmienił się sposób uprawy pól, pojawiły się liczne murki i żywopłoty. Teraz, niosąc Harry'ego, musieli raz po raz przechodzić przez furtki i kluczyć po ścieżkach między prywatnymi królestwami.

Dołączali do nich mężczyźni pracujący na innych polach, kobiety, które wychodziły z domów, by zobaczyć, co się dzieje, małe dzieci i psy. Szli za nimi i rozmawiali o biednym Harrym i jego strasznym wypadku.

Pokonując kolejne jardy i uginając się pod ciężarem męża i drzwi, Sal przypomniała sobie, jak jako pięcioletka – nazywana wtedy Sally – wyobrażała sobie krainę poza wioską jako wąski krąg ziemi, coś w rodzaju ogrodu otaczającego jej dom. Wydawało jej się, że cały świat jest niewiele większy od Badfordu.

Kiedy po raz pierwszy pojechała z rodzicami do Kingsbridge, była oszołomiona: tysiące ludzi, zatłoczone ulice, stragany pełne jedzenia, ubrań i rzeczy, o których nigdy nie słyszała – po raz pierwszy widziała wtedy papugę, globus, książkę, w której można było pisać, srebrne naczynia. A potem katedra, niewyobrażalnie wysoka, dziwnie piękna, w środku chłodna i cicha, prawdziwy dom Boży.

Kit był teraz tylko odrobinę starszy niż Sal podczas tej zdumiewającej pierwszej podróży. Próbowała sobie wyobrazić, o czym syn myśli w tym momencie. Przypuszczała, że zawsze postrzegał ojca jako niezniszczalnego – jak większość chłopców – a teraz musiał pogodzić się z myślą, że Harry jest ciężko ranny i bezradny. Był pewnie przerażony i zdezorientowany. Potem będzie musiała się nim zająć, dodać mu otuchy.

W końcu zobaczyli jej dom, jeden z biedniejszych w wiosce, wzniesiony z torfu i splecionych gałęzi i witek. Otwory bez szkła były zakryte okiennicami.

– Kit, pobiegnij przodem i otwórz drzwi – poprosiła Sal.

Chłopiec posłusznie wysforował się, mogli więc od razu wnieść Harry'ego do środka. Tłum pozostał na zewnątrz i zaglądał do wnętrza.

Dom składał się tylko z jednej izby. Stały tu dwa łóżka, jedno wąskie i jedno szerokie, proste platformy z nielakierowanych desek, które Harry zbił gwoźdźmi. Na obu leżały sienniki.

– Połóżmy go na tym większym – powiedziała Sal.

Ostrożnie ułożyli na łóżku drzwi z Harrym.

Przez jakiś czas stali, rozcierając obolałe ramiona i rozciągając przygarbione plecy. Sal wpatrywała się w bladego jak ściana męża, który leżał, nie poruszając się, i ledwie oddychał.

– Panie, proszę, nie zabieraj mi go – wyszeptwała.

Kit stanął przed nią i ścisnął ją mocno, wtulając twarz w jej brzuch, który po jego narodzinach był miększy niż dawniej. Pogłaskała syna po głowie. Chciała powiedzieć mu coś pociesającego, ale nic nie przychodziło jej na myśl. A prawda byłaby przerażająca.

Zauważyła, że mężczyźni rozglądają się po domu. Był dość biedny, ale ich domostwa nie wyglądały inaczej, bo wszyscy

byli robotnikami rolnymi. Na środku izby stał kołowrotek Sal, wykonany z wielką starannością i precyzją, wypolerowany do połysku. Odziedziczyła go po matce. Obok leżała mała sterta szpul z gotową przędzą, które wkrótce miał zabrać sukiennik. Dzięki kołowrotkowi stać ich było na drobne luksusy: herbatę z cukrem, mleko dla Kita, mięso dwa razy w tygodniu.

– Biblia! – wykrzyknął Jimmy Mann, zauważywszy drugi kosztowny przedmiot w domu. Gruba księga oprawiona w skórę, na której widniały ślady wielu brudnych rąk, i spięta zaśniedziałą mosiężną klamrą, leżała na środku stołu.

– To Biblia mojego ojca – wyjaśniła Sal.

– Umiesz czytać?

– Nauczył mnie.

Byli pod wrażeniem. Sal przypuszczała, że żaden z nich nie potrafił przeczytać więcej niż kilka słów: własne imiona i nazwiska, być może ceny wypisane na bazarach i w tawernach.

– Mamy zsunąć Harry’ego z drzwi na materac? – spytał Jimmy.

– Byłoby mu wygodniej – odparła.

– A ja będę spokojniejszy, jeśli oddam te drzwi do składu drewna.

Sal przeszła na drugą stronę łóżka i uklękła na klepisku. Wyciągnęła ręce, by przytrzymać Harry’ego, kiedy zsunie się na siennik. Trzej mężczyźni złapali za drzwi z drugiej strony.

– Powoli, delikatnie – przestrzegala ich.

Mężczyźni unieśli nieco nosze po swojej stronie. Harry przesunął się o cal i jęknął.

– Jeszcze wyżej – poprosiła Sal. Tym razem jej mąż zsunął się na skraj drzwi. Sal przygotowała ręce na przejęcie go. – Jeszcze trochę. I odciągnijcie drzwi o cal albo dwa.

Kiedy Harry zaczął się ponownie przemieszczać, wsunęła pod jego ciało dłonie i przedramiona. Chciała w ten sposób dopilnować, by w jak najmniejszym stopniu zmienić pozycję. Wyglądało na to, że jej się udało, bo Harry nie wydał żadnego dźwięku. Przeszła jej jednak przez głowę myśl, że ta cisza może być złowieszczą.

Na samym końcu pociągnęli drzwi odrobinę za mocno i

zmiądzona noga rannego opadła ciężko na siennik. Znów krzyknął. Tym razem Sal przywitała ten dźwięk z ulgą, jako znak, że mąż wciąż żyje.

Chwilę później przyszła Annie Mann z cyrulikiem Alekiem. Najpierw sprawdziła, czy do domu Sal dotarły jej dzieci i czy nic im nie jest. Potem spojrzała na Harry'ego. Nie odezwała się ani słowem, ale Sal widziała, że jest zszokowana jego stanem.

Alec Pollock był schludnym mężczyzną, ubranym w kaftan i spodnie za kolana, stare, ale dobrze utrzymane. Wszystko, co wiedział o medycynie, przekazał mu ojciec, który też był cyrulikiem; również od niego Alec dostał ostre noże i inne narzędzia.

Przyniósł małą drewnianą skrzynkę z uchwytem i postawił ją na podłodze obok kominka. Potem spojrzał na Harry'ego.

Sal wpatrywała się w cyrulika, próbując wyczytać coś z jego twarzy, jej wyraz pozostawał jednak nieprzenikniony.

– Harry, słyszysz mnie? – spytał Alec. – Jak się czujesz?

Harry nie reagował.

Cyrulik spojrzał na zmiądzoną nogę, przy której siennik nasiąkł krwią, i dotknął kości przebijających skórę. Harry krzyknął z bólu, ale nie tak przerażająco jak wcześniej, a potem znowu, gdy Alec dotknął rany. Gdy cyrulik złapał za kostkę Harry'ego i podniósł jego nogę, ten zawył z bólu.

– Jest źle, prawda? – odezwała się Sal.

Alec spojrzał na nią i zawahał się.

– Tak – odparł po chwili.

– Możesz coś zrobić?

– Nie mogę nastawić złamanych kości. Czasami jest to możliwe: jeśli złamała się tylko jedna kość i za bardzo się nie przemieściła, mogę ją nastawić i unieruchomić łupkami, żeby się zrosła. Ale Harry ma uszkodzone kolano i kilka paskudnie złamanych kości.

– Więc?

– Najgroźniejsze jest zakażenie, które może wdać się w ranę i doprowadzić do gnicia ciała. To może skończyć się śmiercią. Rozwiązaniem jest amputacja nogi.

– Nie – rzuciła Sal głosem drżącym z desperacji. – Nie, nie

możesz odciąć mu nogi, dość się już nacierpiał.

– To może uratować mu życie.

– Musi być jakiś inny sposób – upierała się Sal.

– Mogę spróbować wyparzyć ranę – powiedział Alec z powątpiewaniem. – Ale jeśli to nie zadziała, pozostanie tylko amputacja.

– Spróbuj, proszę.

– Dobrze. – Pochylił się nad skrzynką i otworzył ją. – Sal, możesz rozpaść w palenisku? To musi być naprawdę gorące.

Zajęła się posłusznie rozpalaniem ognia.

Alec tymczasem wyjął ze skrzynki ceramiczną miskę i zakorkowaną butelkę.

– Pewnie nie masz brandy, co? – zwrócił się do Sal.

– Nie – odparła, po czym przypomniała sobie o piersiówce Willa. Na polu wsunęła ją pod sukienkę. – Mam – poprawiła się i ją wyjęła.

Cyrulik uniósł brwi.

– To własność Willa Riddicka – wyjaśniła Sal. – To przez tego przekłętą głupca doszło do wypadku. Szkoda, że to nie on był pod wozem.

Alec uśmiechnął się, że nie słyszał obelg pod adresem syna dziedzica.

– Niech Harry wypije jak najwięcej – nakazał. – Jeśli zemdleje, tym lepiej.

Sal usiadła na łóżku obok męża, podniosła jego głowę i powoli wlewała mu brandy do ust, podczas gdy Alec podgrzewał olej w misce.

Gdy piersiówka była całkiem pusta, olej już wrzał. Sal zrobiło się niedobrze na ten widok.

Cyrulik wsunął pod kolano Harry'ego szerokie, płytkie naczynie. Razem z żoną rannego jego poczynaniom przyglądała się przerażona publiczność: trzech robotnicy, Annie, dwoje jej dzieci i błąd jak ściana Kit.

Kiedy nadszedł właściwy moment, Alec działał szybko i sprawnie. Za pomocą szczypców podniósł miskę znad ognia i wylał wrzący płyn na kolano rannego.

Harry wydał z siebie najgorszy ze wszystkich dotąd krzyk, a potem stracił przytomność.



Dzieci się rozplakały.

Izbę wypełniła paskudna woń przypalanego ludzkiego ciała.

Alec poruszał na boki płytkim naczyniem pod nogą Harry'ego, gdzie spłynął gorący olej, i w ten sposób wyparzył ranę pod kolaniem. Potem wysunął naczynie, zlał olej do butelki i zakorkował ją.

– Prześlę rachunek dziedzicowi – oznajmił.

– Mam nadzieję, że ci zapłaci – powiedziała Sal. – Ja nie mam z czego.

– Powinien. Jako dziedzic ma pewne obowiązki wobec swoich robotników, choć nie istnieje prawo, które by go do tego zmusiło. Tak czy inaczej, to sprawa między mną i nim, więc nie przejmuj się tym. Harry nie będzie chciał nic jeść, ale spróbuj go namówić, żeby jak najwięcej pił. Najlepiej herbatę. Może być też piwo albo woda. I pilnuj, żeby było mu ciepło. – Alec zaczął pakować swoje rzeczy do skrzynki.

– Mogę zrobić coś jeszcze? – spytała Sal.

Wzruszył ramionami.

– Módl się za niego.

## ROZDZIAŁ 2

Amos Barrowfield zrozumiał, że stało się coś niedobrego, gdy tylko wyjechał zza zakrętu i zobaczył Badford.

Owszem, na polach pracowali robotnicy, ale nie tylu, ilu się spodziewał. Droga prowadząca do wioski była niemal całkiem pusta, jechał nią tylko jeden wóz. Amos nie widział nawet psów.

Był sukiennikiem, handlował sukniem. Właściwie sukiennikiem był jego ojciec, Obadiah, ale już dawno skończył pięćdziesiąt lat i często brakowało mu sił, więc to Amos podróżował po okolicy z jucznymi końmi, wiozącymi owczą strzyżę, i odwiedzał kolejne chaty.

Przemianą strzyży w tkaninę zajmowali się głównie mieszkańcy wsi, pracujący we własnych domach. Najpierw surową wełnę należało rozplątać i oczyścić, co nazywano zgrzebleniem lub gręplowaniem. Potem przędzono z niej długie nici i nawijano na szpule. Na koniec tkano na krosnach z tej przędzy materiał o szerokości jarda. Tkactwo było głównym przemysłem zachodniej Anglii, a Kingsbridge jego ośrodkiem.

Amos przypuszczał, że Adam i Ewa po zjedzeniu owocu z drzewa poznania sami wykonywali wszystkie te prace, by uszyć sobie ubrania i okryć nagość, choć w Biblii nie napisano zbyt wiele o gręplowaniu i przędzeniu ani o tym, jak Adam zbudował krosno.

Dotarliszy do pierwszych domów, Amos zorientował się, że wszyscy gdzieś zniknęli. Coś odciągnęło robotników rolnych od

pracy, ale ludzie zajmujący się tkaniem powinni być w domach. Płacono im za tyle, ile zdołali wyprodukować, więc rzadko porzucali kołowrotki i krosna.

Najpierw udał się do domu zgrzeblarza, Micka Seabrooka. Mick trzymał w prawej dłoni wielką szczotkę z żelaznymi zębami, a w lewej drewniany klocek tych samych rozmiarów i rozczesywał mocnymi pociągnięciami znajdujący się między nimi kłęb surowej wełny. Kiedy gęstwina brudnego runa zmieszanego z błotem i kawałkami roślin zamieniała się w motek czystych prostych włókien, skręcał je w luźny powróż nazywany niedoprzędem.

– Słyszał pan o Harrym Clitheroe? – przywitał Amosa Mick.

– Nie. Dopiero przyjechałem do wioski. Nie byłem jeszcze u nikogo. A o co chodzi?

– Wóz z rzepą zmiądzzył mu nogę. Mówią, że już nigdy nie będzie mógł pracować.

– To straszne. Jak to się stało?

– Ludzie różnie opowiadają. Will Riddick twierdzi, że Harry się popisywał i próbował udowodnić, że sam przepcha załadowany wóz. Ale Ike Clitheroe mówi, że to była wina Willa, bo przeładował wóz.

– Sal będzie załamana – powiedział Amos. Znał rodzinę Clitheroe i uważał, że łączy ich prawdziwa miłość. Harry był twardym człowiekiem, zrobiłby jednak dla żony wszystko, a Sal wprawdzie trochę dyrygowała mężem, ale go uwielbiała. – Pójdę do nich.

Zapłacił Mickowi, dał mu nową porcję strzyży i zabrał worek gotowych niedoprzędów.

Wkrótce odkrył, gdzie podziela się większość mieszkańców wsi: wokół domu Clitheroe'ów zebrał się tłum ciekawskich.

Sal była prządką, lecz w odróżnieniu od Micka, nie mogła pracować dwanaście godzin dziennie, bo miała wiele innych obowiązków; szyła ubrania dla Harry'ego i Kita, uprawiała warzywa w ogródku, kupowała i przygotowywała jedzenie, prała, sprzątała i wykonywała wszystkie inne prace w domu. Amos żałował, że ta kobieta nie ma więcej czasu na przędzenie, bo stale brakowało mu przędzy.

Tłum rozstąpił się przed nim. Był tu dobrze znany i zapewniał wielu wieśniakom pracę nie tak ciężką jak na polu i lepiej płatną. Kilku mężczyzn pozdrowiło go serdecznie.

– Cyrulik właśnie wyszedł, panie Barrowfield – powiedział jeden z nich.

Amos wszedł do środka. Harry leżał na łóżku, blady i nieruchomy, z zamkniętymi oczami, i oddychał płytko. Wokół niego stało kilka osób. Gdy wzrok Amosa przywykł do półmroku, rozpoznał większość z nich.

– Co się stało? – zwrócił się do Sal.

Twarz kobiety wykrzywił grymas rozgoryczenia i żalu.

– Will Riddick przeładował wóz i stracił nad nim panowanie. Mężczyźni próbowali go zatrzymać, ale przewrócił się i roztrzaskał Harry’emu nogę.

– Co powiedział Alec Pollock? – spytał Amos.

– Chciał uciąć nogę, ale namówiłam go, żeby spróbował najpierw wrzącego oleju. – Sal spojrzała na nieprzytomnego męża i dodała ze smutkiem: – Coś mi się wydaje, że nie pomogłoby mu ani jedno, ani drugie.

– Biedny Harry. – Amos westchnął.

– Myślę, że może się już przygotowywać do przejścia na drugą stronę. – Głos Sal załamał się nagle i zaczęła cicho szlochać.

– Nie płacz, mamo! – zawołało z przerażeniem w głosie dziecko, w którym Amos rozpoznał Kita.

Sal ucichła i zacisnęła dłoń na ramieniu syna.

– W porządku, Kit, nie będę płakać.

Przybity sceną rozpaczy w ponurym domu biednej rodziny, Amos nie wiedział, co powiedzieć. W końcu zdecydował się na coś przyziemnego:

– Nie będę ci zawracał głowy pracą w tym tygodniu, dam ci nową porcję wełny następnym razem.

– Och, proszę, niech pan tego nie robi. Potrzebuję pracy bardziej niż kiedykolwiek. Harry nie będzie przecież zarabiał na życie, więc ja muszę się tym zająć.

– Dziedzic powinien się tobą zająć – odezwał się ktoś i kiedy Amos spojrzał w stronę, z której dochodził głos, zobaczył Ike’a Clitheroe.

– Powinien – zgodził się z nim Jimmy Mann. – Ale to nie znaczy, że to zrobi.

Wielu właścicieli ziemskich czuło się odpowiedzialnych za wdowy i sieroty, nie było to jednak ich obowiązkiem, a Riddick był skąpy.

Sal wskazała na stertę szpulek przy kołowrotku.

– Prawie skończyłam porcję z zeszłego tygodnia – powiedziała. – Rozumiem, że zostaje pan w Badfordzie na noc?

– Tak.

– Dokończę dziś wieczorem i jutro oddam wszystko.

Amos wiedział, że w razie potrzeby kobieta będzie pracować nawet przez całą noc.

– Jeśli jesteś pewna...

– Całkowicie.

– W porządku.

Wyszedł na zewnątrz i zdjął worek z grzbietu konia. Teoretycznie prządka mogła przerobić funt wełny dziennie, ale mało która spędzała przy kołowrotku cały dzień; większość, podobnie jak Sal, łączyła tę pracę z innymi obowiązkami.

Wniósł worek do domu i położył go na podłodze przy kołowrotku. Potem spojrzął na Harry'ego. Ranny mężczyzna wciąż się nie poruszał. Wyglądał jak śmierć, ale Amos nigdy jeszcze nie widział umierającego człowieka, więc właściwie nie wiedział, czy z Harrym jest aż tak źle. Upomniął się w myślach, że nie powinien za bardzo popuszczać wodzy fantazji.

Wyszedł i pojechał do stojącego niedaleko budynku, stajni, którą przerobiono na warsztat na polecenie Rogera Riddicka, trzeciego – najmłodszego – syna dziedzica. Amos i Roger byli w tym samym wieku, mieli po dziewiętnaście lat, i kiedyś uczęszczali razem do gimnazjum w Kingsbridge. Roger był pilnym uczniem, nie interesowały go sport, picie ani dziewczyny, więc koledzy często go dręczyli, dopóki Amos nie stanął w jego obronie i od tej pory zostali przyjaciółmi.

Zapukał do drzwi i wszedł do środka. Roger kazał zamontować w budynku duże okna; pod jednym z nich stał warsztat. Na hakach wbitych w ścianę wisiały narzędzia, były tu też skrzynie i naczynia zawierające zwoje drutu, małe sztabki różnych metali,

gwoździe, śruby i klej. Roger uwielbiał konstruować pomysłowe zabawki: mysz, która piszczała i ruszała ogonem, trumnę, w której trup siadał prosto, gdy otwierało się wieko. Wynalazł też maszynę, która przetykała rury, gdy zator znajdował się wiele jardów od wlotu, a nawet za zagięciami.

Roger przywitał przyjaciela szerokim uśmiechem i odłożył dłuto. Miał jasne włosy i różową skórę, co odróżniało go od czarnowłosego ojca i braci. Prawdopodobnie był podobny do matki, która umarła kilka lat wcześniej.

– W samą porę! – powiedział. – Właśnie miałem iść do domu na kolację. Zakładam, że do nas dołączysz?

– Miałem nadzieję, że mnie zaprosisz.

Gdy wyszli z warsztatu, Roger zamknął drzwi na klucz. W drodze do dworu Amos prowadził za sobą konie i rozmawiał z przyjacielem o Harrym Clitheroe.

– To ośli upór mojego brata doprowadził do tego wypadku – przyznał szczerze Roger.

Studiował w College’u Kingsbridge, założonym jeszcze w średniowieczu w Oksfordzie przez mnichów z Kingsbridge. Zaczął studia kilka tygodni temu i właśnie po raz pierwszy odwiedził dom. Amos też chętnie poszedłby na studia, lecz ojciec nalegał, by pracował w rodzinnym interesie. Miał nadzieję, że w kolejnych pokoleniach ta sytuacja się zmieni i że być może będzie miał syna, który wyjedzie do Oksfordu.

– Jak jest na uniwersytecie? – spytał.

– Fantastycznie – odparł Roger. – Świetnie się bawię, choć, niestety, przegrałem sporo pieniędzy w karty.

– Miałem na myśli naukę. – Amos uśmiechnął się.

– Och! W porządku. Na razie nic trudnego. Nie przepadam za teologią i retoryką. Lubię matematykę, ale wykładowcy matematyki mają obsesję na punkcie astronomii. Powinienem być wybrać Cambridge, tam podobno matematyka jest na wyższym poziomie.

– Będę o tym pamiętał, kiedy mój syn będzie w odpowiednim wieku.

– Myślisz o ożenku?

– Myślę nieustannie, ale w najbliższym czasie nie ma na to

szans. Nie mam ani pensa, a ojciec nic mi nie da, dopóki nie skończę praktyki.

– I dobrze! Dzięki temu będziesz miał jeszcze czas trochę poszaleć.

Amos nie należał do ludzi, którzy lubią poszaleć, więc zmienił temat.

– Poproszę cię o nocleg na tę noc, jeśli to możliwe.

– Oczywiście. Ojciec ucieszy się z twojej wizyty. Synowie już go nudzą, a ciebie lubi mimo twoich poglądów, które uważa za radykalne. Uwielbia z tobą dyskutować.

– Nie jestem radykałem.

– Owszem, nie jesteś. Ojciec powinien porozmawiać z ludźmi, których poznałem w Oksfordzie. Ich poglądy chyba poparzyłyby mu uszy.

– Wyobrażam sobie. – Amos roześmiał się. Kiedy pomyślał o życiu przyjaciela, który czytał spokojnie książki i dyskutował o różnych ideach z inteligentnymi młodymi ludźmi, poczuł zazdrość.

Dotarli do dworu, eleganckiego czerwonego budynku w stylu jakobińskim, z oknami składającymi się z wielu małych szybek połączonych ołowiem. Zaprowadzili konie Amosa do stajni, by tam je napojono i oporządzono, po czym przeszli do domu.

Mieszkali w nim wyłącznie mężczyźni, nie było więc zbyt czysto. W powietrzu unosiła się woń typowa dla wiejskich podwórek. Amos dostrzegł ogon szczura, który na ich widok uciekł przez szparę pod drzwiami. Dotarli do jadalni jako pierwsi. Nad kominkiem wisiał portret zmarłej żony dziedzica, pociemniały ze starości i zakurzony, jakby nikt nie chciał na niego patrzeć.

Po chwili wszedł dziedzic, potężny mężczyzna koło pięćdziesiątki, o czerwonej twarzy, otyły, lecz wciąż żwawy.

– W sobotę w Kingsbridge organizują turniej bokserski – oznajmił z entuzjazmem. – Bestia z Bristolu wyzywa wszystkich chętnych i oferuje gwineę każdemu, kto ustoi w ringu przez piętnaście minut.

– Będziecie się świetnie bawić – powiedział Roger. Jego ojciec i bracia uwielbiali sporty, najbardziej walki bokserskie i



wyścigi konne, zwłaszcza jeśli mogli obstawiać wyniki. – Ja wolę grać w karty. Mogę przynajmniej obliczyć, jakie mam szanse.

Wkrótce dołączył do nich George Riddick, średni syn dziedzica. Był olbrzymim mężczyzną z czarnymi włosami i ciemnymi oczami; wyglądał jak młodsza wersja ojca, tyle że miał przedziałek na środku głowy.

W końcu pojawił się i Will, a za nim kamerdyner, który niósł parującego kocioł z zupą. Zapach był tak smakowity, że Amosowi ślina napłynęła do ust.

Na kredensie leżała taca z szynką, serem i bochenkiem chleba. Kamerdyner nalał do kieliszków porto.

Amos zawsze witał się ze służbą, więc i teraz zwrócił się do kamerdynera:

– Witaj, Platts, jak się miewasz?

– Dobrze, panie Barrowfield – odparł Platts burkliwie. Najwyraźniej nie wszyscy służący odwzajemniali życzliwość Amosa.

Will ukroił sobie gruby plaster szynki i powiedział:

– Namiestnik zwołał milicję w Shiring.

Milicją nazywano zbrojne oddziały obrony terytorialnej. Poborowych wybierano w drodze losowania. Amosowi sprzyjało szczęście i jak dotąd omijało go to. Chociaż odkąd sięgał pamięcią, milicja nie prowadziła żadnych działań, zbierała się jedynie raz w roku na sześciotygodniowe szkolenie, podczas którego obozowała na wzgórzach na północ od Kingsbridge i uczyła się musztry oraz ładowania i strzelania z muszkietów. I nic nie wskazywało na to, żeby to się miało zmienić.

– Też o tym słyszałem – odparł dziedzic. – I nie dotyczy to tylko Shiring. W dziesięciu hrabstwach ogłoszono mobilizację.

Były to dość niepokojące wieści. Jakiego kryzysu spodziewał się rząd?

– Jestem porucznikiem, więc będę pomagał w mobilizacji – oznajmił Will. – Pewnie na jakiś czas zamieszkać w Kingsbridge.

Choć Amosowi udawało się do tej pory unikać powołania, mogło się zdarzyć, że tego zaciągu nie uniknie. Sam nie wiedział, co o tym sądzić. Nie chciał zostać żołnierzem, ale może było to lepsze niż niewolnicza praca u ojca.

- Kto jest dowódcą? – spytał dziedzic. – Ciągle zapominam...
- Pułkownik Henry Northwood – odpowiedział Will.

Henry, wicehrabia Northwood, był synem hrabiego Shiring. Dowodzenie milicją pozostawało tradycyjnym obowiązkiem spadkobierców tytułu hrabiowskiego.

- Najwyraźniej premier Pitt uważa, że sytuacja jest poważna.
- Dziedzic pokiwał głową.

Przez jakiś czas jedli i pili w milczeniu, pogrążeni w rozmyślaniach. W końcu Roger odsunął od siebie talerz i odezwał się z powagą:

- Milicja ma dwa zadania: bronić kraju przed inwazją i tłumić rozruchy. Być może dojdzie do wojny z Francją... wcale bym się nie zdziwił... ale przygotowania do inwazji zajęłyby Francuzom kilka miesięcy, więc mielibyśmy mnóstwo czasu na zwoływanie milicji. Nie wydaje mi się więc, żeby chodziło o to. Co oznacza, że rząd obawia się rozruchów. Ciekawe dlaczego.

- Wiesz dlaczego – rzucił Will. – Minęło dopiero dziesięć lat od czasu, gdy Amerykanie obalili rządy króla i stworzyli republikę, i zaledwie trzy lata, odkąd paryski tłum zdobył Bastylię. A ostatnio ten francuski szatan Brissot powiedział: „Nie spoczniemy, dopóki cała Europa nie stanie w płomieniach”. Rewolucja rozprzestrzenia się jak ospa.

- Moim zdanie nie ma powodów do paniki – powiedział Roger. – Właściwie co takiego zrobili rewolucjoniści? Zrównali na przykład w prawach protestantów. George, jako duchowny protestancki chyba to doceniasz, prawda?

- Zobaczmy, jak długo to potrwa – odpowiedział posępnie George, który był proboszczem w Badfordzie.

- Znieśli feudalizm – kontynuował Roger. – Odebrali królowi prawo do więzienia ludzi w Bastylii bez procesu i wprowadzili monarchię konstytucyjną, którą mamy też w Brytanii.

Wszystko, co mówił, teoretycznie było prawdą, Amos uważał jednak, że przyjaciel się myli. Z tego, co wiedział, w rewolucyjnej Francji wcale nie było prawdziwej wolności – ani wolności słowa, ani religii. Tak naprawdę Anglia była bardziej tolerancyjna.

- A co z wrześnieowymi masakrami we Francji? – spytał gniewnym tonem Will, wyciągając palec w stronę najmłodszego

brata. – Rewolucjoniści zabili tysiące ludzi. Bez żadnych dowodów, bez ławy przysięgłych, bez procesu. „Ty chyba też jesteś kontrrewolucjonistą. I ty też”. Pif-paf i obaj nie żyją. Wśród ofiar były dzieci!

– Tragedia, przynaję. – Roger skinął głową. – I skaza na reputacji Francji. Ale czy naprawdę sądzimy, że u nas wydarzy się to samo? Nasi rewolucjoniści nie szturmują więzień, piszą pamflety i listy do gazet.

– Tak to się właśnie zaczyna! – Will upił łyk porto.

– Ja winię za to metodystów – wtrącił George.

Roger parsknął śmiechem.

– A gdzie to metodyści ukrywają gilotyny? – rzucił.

George zignorował te słowa.

– W szkółkach niedzielnych uczą czytać biedne dzieci, a te, kiedy dorastają, czytają książkę Thomasa Paine’a, unoszą się gniewem i dołączają do klubu malkontentów. Rozruchy to, logicznie rzecz biorąc, następny etap.

Dziedzic spojrzał na Amosa.

– Nic dzisiaj nie mówisz – zauważył. – Zwykle bronisz nowych idei.

– Nie wiem zbyt wiele o nowych ideach – odparł Amos.

– Przekonałem się, że warto słuchać ludzi, nawet tych niewykształconych i o wąskich horyzontach. Lepiej pracują, jeśli wiedzą, że obchodzi cię ich opinia. Więc jeśli jakaś część Anglików uważa, że parlament należy zmienić, to moim zdaniem powinniśmy wysłuchać, co mają do powiedzenia.

– Dobrze to ująłeś. – Roger pokiwał głową.

– Ale mam jeszcze sporo pracy – wy tłumaczył się Amos i wstał od stołu. – Dziękuję za gościnę. Muszę zająć się swoimi obowiązkami, ale jeśli pan pozwoli, wrócę wieczorem.

– Oczywiście, oczywiście – odparł dziedzic.

Amos przez resztę dnia odwiedzał ludzi we wsi; odbierał od nich gotowy towar, płacił im i dawał nowy materiał do przeróbki. Potem, gdy zaszło już słońce, poszedł do domu Clitheroe’ów.

Już z daleka usłyszał muzykę, czterdzieści czy pięćdziesiąt osób śpiewających na cały głos. Clitheroe’owie byli metodystami, podobnie jak Amos, a metodyści nie używali podczas nabożeństw

instrumentów muzycznych. Żeby nadrobić ich brak, bardzo się starali utrzymać równy rytm i często śpiewali na cztery głosy. W tej chwili wykonywali hymn *Miłość Boża ponad wszelkie miłości*, popularną kompozycję Charlesa Wesleya, brata twórcy ruchu metodystycznego. Amos przyspieszył kroku. Uwielbiał śpiew bez akompaniamentu i chciał się przyłączyć.

W Badfordzie mieszkała duża grupa metodystów, podobnie jak w Kingsbridge. Metodyzm był nowym nurtem religijnym w obrębie Kościoła anglikańskiego, choć coraz częściej mówiono o oderwaniu się od niego; większość metodystów nadal jednak przyjmowała komunię w Kościele anglikańskim.

Kiedy podszedł bliżej, zobaczył tłum ludzi otaczający dom Sal i Harry'ego. Kilka osób trzymało zapalone pochodnie i po ziemi niczym złe duchy tańczyły migotliwe cienie. Nieoficjalnym przywódcą metodystów był Brian Pikestaff, farmer gospodarujący na trzydziestu akrach ziemi. Ponieważ był właścicielem tego gruntu, dziedzic nie mógł mu zabronić organizowania modlitewnych spotkań metodystów w stodole. Gdyby był dzierżawcą, prawdopodobnie zostałby eksmitowany.

Gdy hymn dobiegł końca, Brian Pikestaff zaczął mówić o miłości łączącej Harry'ego, Sal i Kita. Podkreślał, że to prawdziwa miłość, na ile to możliwe wśród ludzi, i opowiadał o Bożej miłości, o której przed chwilą śpiewali. Zebrani zaczęli płakać.

Kiedy Brian skończył, Jimmy Mann zdjął trikorn i rozpoczął improwizowaną modlitwę, trzymając kapelusz w dłoni. Była to normalna praktyka wśród metodystów. Ludzie modlili się lub śpiewali hymny, gdy tylko czuli taką potrzebę. W teorii wszyscy byli równi wobec Boga, choć w praktyce rzadko się zdarzało, by głos zabierała kobieta.

Jimmy prosił Pana o zdrowie dla Harry'ego, by ten mógł nadal opiekować się rodziną. Jego modlitwa została jednak gwałtownie przerwana, gdy pojawił się George Riddick z lampą w ręce i krzyżem na piersiach. Był w kapłańskich szatach: sutannie, albie z szerokimi rękawami i czarnej kwadratowej czapce z ostrymi rogami.

– To skandal! – krzyknął.

Jimmy przerwał na moment, otworzył oczy, ale zaraz opuścił powieki i kontynuował:

– O Boże, Ojczy nasz, wysłuchaj naszej modlitwy, prosimy cię...

– Dość tego! – ryknął George i Jimmy musiał w końcu przestać.

– Dobry wieczór, pastoryze Riddick – odezwał się przyjaznym tonem Brian Pikestaff. – Dołączysz do naszej modlitwy? Prosimy Boga o uleczenie naszego brata Harry’ego Clitheroe.

– To kapłan wzywa wiernych na modlitwę, a nie odwrotnie! – powiedział gniewnie George.

– Ale nie zrobiłeś tego, pastoryze, prawda? – odparł Brian.

George wydawał się skonsternowany.

– Nie wezwałeś nas do modlitwy za Harry’ego – kontynuował Brian – który stoi teraz, jak mawiamy, na brzegu wielkiej mrocznej rzeki i czeka, aż Bóg zdecyduje, czy ma do niego dziś dołączyć. Gdybyś nas wezwał, pastoryze, chętnie przyslibyśmy do kościoła, żeby modlić się z tobą. Ale nie zrobiłeś tego, więc jesteście tutaj.

– Jesteście ciemnymi wieśniakami – prychnął George. – I dlatego Bóg powołuje kapłanów, którzy mają wami kierować.

– Ciemnymi wieśniakami?! – zawołała jakaś kobieta. Amos domyślił się, że to Annie Mann, jedna z prządek. – Nie jesteście aż tak ciemni, żeby przeładować wóz z rzepami.

Odpowiedział jej chór głosów poparcia i przytłumione śmiechy.

– Bóg uczynił was poddanymi tych, którzy są od was mądrzejsi, a waszym obowiązkiem jest słuchać władzy, a nie przeciwstawiać się jej.

Wśród zgromadzonych zapadła na chwilę cisza. Przerwał ją głośny, pełen cierpienia jęk dobiegający z wnętrza domu.

Amos podszedł do drzwi i wszedł do środka.

Sal i Kit klęczeli po drugiej stronie łóżka, z rękami złożonymi do modlitwy. Cyrulik, Alec Pollock, stał u wezgowia i trzymał cierpiącego mężczyznę za nadgarstek.

– On odchodzi – powiedział Alec, gdy Harry jęknął ponownie. – Opuszcza nas.

– O Boże – wyszeptała Sal.

Kit rozplakał się.

Amos stał w milczeniu w drzwiach i przyglądał się tej scenie.

– On odszedł, Sal – odezwał się cyrulik minutę później.

Sal objęła syna ramieniem i płakała razem z nim.

– Przynajmniej już nie cierpi – dodał Alec. – Jest już z Panem Jezusem.

– Amen – szepnął Amos.

## Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)
- [empik.com](http://empik.com)
- [bonito.pl](http://bonito.pl)
- [taniaksiazka.pl](http://taniaksiazka.pl)

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.  
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę [wydawnictwoalbatros.com](http://wydawnictwoalbatros.com), gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).